

Przejścia (inaczej)

Arkadiusz Morawiec

W odautorskim wstępie do Warszawskich pasaży Krzysztof Rutkowski wspomina o genezie zarówno tej książki, jak i wcześniejszych, prowadzonych od lat, felietonowych zapisków, których pierwszy zbiór ukazał się ponad dwie dekady temu jako Paryskie pasaże z podtytułem Opowieść o tajemnych przejściach.

Rutkowskiego, literaturoznawcę i eseistę, mieszkającego podówczas w Paryżu, namówił do zmierzenia się z tym gatunkiem Antoni Pawlak, szef działu kulturalnego nowo powstałej „Gazety Wyborczej”.

Pisarskim wzorcem dla posyłanych znad Sekwany nad Wisłą zapisków była praktykowana przez Waltera Benjamina w jego *Pasażach*, będących, najogólniej biorąc, swoistą encyklopedią Paryża, forma „ani za bardzo poetycka, ani za bardzo prozatorska, tylko najsilniej dramatyczna. Mało słów, mrowie sensów”. W kolejnych latach Rutkowski wydał, układające się w paryski cykl, tomy *Raptularz końca wieku*, *Śmierć w wodzie*. Proza i *Ostatni pasaż. Przepowieść o byciu byle-jakim*. Przyjechawszy w 2010 roku do Polski, gdzie podjął pracę na Wydziale „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego, przyjął od Jacka Kocińskiego propozycję pisania felietonów do miesięcznika „Teatr”. Nadał im nazwę *Warszawskie pasaże*. Po kilku latach zawarł je, w liczbie czterdziestu trzech, w omawianej tutaj spójnej kompozycyjnie i myślowo książce. Są to także „pasaże”, wszelako nieco odmienne od wcześniejszych. Wypracowane w Paryżu techniki autor uznał za nieprzydatne nad Wisłą: „zupełnie inny świat, inne powietrze, inne przebudzenia od śmierci do życia, odpadania od życia ku śmierci, przejścia inaczej tajemne. Nie mogą chodzić po tym mieście, mogą się tylko przemykać. Ale coś przychodzi do mnie: w Parku Skaryszewskim, na Bliskiej, na Grochowskiej, coś nadciąga z krzaków przy Dworcu Wschodnim, wypłuskuje ze ścieżek i szpar w chodniku. (...) *Warszawskie pasaże* wymagały innej formy niż *Paryskie pasaże*. Jeszcze bardziej skurczonej, przyduszonej. Formy nasiąkniętej milczeniem, jak skaryszewska ścieżka deszczówką”.

Zapiski paryskie są zdecydowanie mniej od warszawskich kapryśne, bardziej zaś dyskursywne, komunikatywne, czytelne. Z tych pierwszych powstały swoiste przewodniki, ciekawe i pouczające dla każdego, kto poznawszy klasyczne bedekery, chciałby głębiej zanurzyć się w Paryżu, w jego przejściach wiodących nie tylko wzdłuż ulic i w poprzek kamienic (a więc dosłownymi pasażami – handlowymi), lecz także w głąb czasu i wskrós niewyjaśnialnej tajemnicy, jaką pozostaje Paryż i jego kulturowe bogactwo. Nie jest Rutkowski pierwszym, który czyta miasto jak księgę, nie jest też pierwszym, który zakochał się w Mieście Świateł, nie pozostawił w swoim sercu miejsca dla innych miast i miejsc. Stwierdziwszy w jednym z „pasaży”, że Paryż jest najmędrszą z ksiąg znaków, przyznaje wprawdzie że warszawska Praga „też jest księgą niegłupią”, jednak dodaje, że mocno przaśną: „Paryż – szampan, Praga – żołądkowa gorzka, ciężkostrawna”. W opublikowanej przed dwoma laty rozmowie wyraził swój stosunek do Warszawy bardziej otwarcie: „Powiedziałem sobie: »Masz pokochać to miasto, bo Bóg, honor, ojczyzna«. Nie udało się. Z mojego balkonu, a mieszkam teraz na Kamionku, widzę ten warszawski Manhattan i dochodzę do wniosku, że jedyną budowlą, która ma w tym mieście sens estetyczny, jest Pałac Kultury”.

Niewiele przesadzę, stwierdzając, że najnowsze „pasaże” Rutkowskiego są warszawskie bardziej ze względu na ich genezę niż topografię, przedmiot opisu, temat. W wymiarze realnym zawiera się w nich głównie Warszawa prawobrzeżna, a ściślej, skromny jej wycinek, którego centrum wyznacza Park Skaryszewski, dalsze zaś okolice, wszelako niezbyt odległe, stanowi kilka ulic Grochowa, przemierzanych bardziej z konieczności niż z zaciekawienia. Miłośnicy Pragi, lokalni patrioci, varsavianie i tropiciele literackich obrazów polskiej stolicy mogą się tą książką rozczarować: niepodobna zwiedzać z nią Warszawy czy choćby tylko Grochowa. Jej tytuł jest zwodniczy. Warszawa stanowi dla Rutkowskiego



Krzysztof Rutkowski
Warszawskie pasaże

Gdańsk: „słowo/obraz terytoria”, 2018

160 s.; 23 cm

tajemne

tyleż dopust, niemalże jak Tomi dla Owidiusza, co pretekst do podróży mającej niewiele wspólnego z realną topografią, z materialną realnością, której, nawiasem mówiąc, autor zdaje się nie znosić. Nie sposób w niej bowiem (duchowo) zamieszkać.

Rutkowski jest filologiem i hermeneutą, zajmuje się odkrywaniem, ale i wytwarzaniem, a nawet mnożeniem sensu, wypełnianiem pustki. W jednym z wywiadów powiedział, że obraz malarski „jest zawsze bardziej podobny do innych obrazów niż do gór, morza, słoneczników lub lasu, który przedstawia. Tekst artystyczny utkany jest z innych tekstów, ponieważ utkany jest ze słów. Nie można pisać, nie prowadząc rozmowy z innymi. Nie można żyć, nie podając sobie słowa z rąk do rąk”. Jest to teza raczej hermeneutyczna niż, jak mogłoby się wydawać, postmodernistyczna. W jednym z warszawskich „pasaży” usytuowaną na rogu Brzeskiej i Żąbkowskiej studzienkę ściekową ogląda poprzez fotografię Moholya-Nagya, ukazującą inną studzienkę, paryską. Przywołaną w tym szkicu refleksję węgierskiego artysty: „Fotografia powstawała po to, by rejestrować momentalną realność chwili, a okazało się natychmiast, że fotografia nie odtwarza realności, lecz odkrywa rzeczywistość tkwiącą nad i pod realnością” – można by z powodzeniem odnieść także do *Warszawskich pasażów*.

Zapewne nie każda fotografia i nie każde dzieło literackie odkrywa tę inną – głębszą, prawdziwszą, a może tylko ciekawszą lub upragnioną – rzeczywistość. W każdym razie na powierzchni niewielkiego obszaru Warszawy Rutkowski poszukuje pasażu do innej, zagubionej lub zapomnianej, realności. Usiłuje zajrzeć w metafizyczną głębię i w głąb siebie. Cytuje Benjamina: „W starożytnej Grecji pokazywano miejsca, które wiodły drogą do podziemnego świata. Nasze bycie na jawie jest krainą z ukrytymi miejscami, przez które zstępuje się do piekieł, krainą obfitującą w niepozorne punkty, do których ściekają sny”. Takich właśnie miejsc poszukuje Rutkowski w Warszawie. Zapewne mógłby poszukiwać ich gdziekolwiek. Przywołajmy jeszcze jeden z licznych w *Warszawskich pasażach* cytatów, pochodzący z *Medei* Pasoliniego: „Kiedy natura wyda ci się naturalna, wszystko się skończy. I zaczniesz coś innego. (...) Gdziekolwiek spojrzysz, kryje się Bóg. Jeśli go nie ma, pozostawił ślady swej świętej obecności”. Lęk przed pustką, przed bez-znaczeniem, jest swoją obsesją autora. Mierzenie się z nią wypełnia większość jego najnowszych „pasaży”. Jest więc Warszawa miejscem tyleż niezbyt ciekawym (skoro nie pobudzają autora Bóg, honor i ojczyzna), żołądkowo-gorzkiem, dość siermiężnym, co umożliwiającym epifanię. „Każdy moment – zacytujmy wreszcie samego Rutkowskiego – każda chwila tego świata otwiera się na wieczność, na świat i na za-swiat (...). W każdym miejscu i o każdej dobie otwiera się szansa na spotkanie”. Można przypuszczać, że szansa ta jest nawet większa w Warszawie niż w Paryżu, uwodzącym *flâneura* swoimi licznymi wdziękami.

Warszawskie pasáže, warszawskie epifanie Rutkowskiego, zawdzięczają niejedno Biało-szewskiemu i Stachurze, ale chyba też *Nocy listopadowej*. Tyle że, inaczej niż w dramacie Wyspiańskiego, dokonują się one nie w Łazienkach, lecz w położonym po drugiej stronie Wisły Parku Skaryszewskim i jego okolicach. Oto w biegającym po parku psie chce autor widzieć Argosa, spotkany przezeń na Grochowskiej młodzieniec jawi się jako Apollin, zaś „autochtoni” z ulicy Bliskiej – jako Trzej Królowie. Spod krzyża stojącego na rogu Bliskiej i Mińskiej wyłania się cuchnący gorzałą Dionizos. Spotyka też autor – albowiem bardzo chce ich spotkać – Tomasza z Akwinu i Émile’a Benveniste’a. Wszystkie te i inne nadzwyczajne spotkania są dobrym pretekstem do – stanowiącej *clou* zapisków Rutkowskiego – refleksji, zdecydowanie wykraczającej swoim ciężarem poza ramy felietonu (bliżej im do

„prób”, do eseju). Składają się na nią, najogólniej biorąc, erudycyjne, intelektualnie pobudzające rozważania z zakresu antropologii filozoficznej i kulturoznawstwa, dotyczące między innymi mitu i literatury, mowy i pisma, rzeczywistości i sztuki.

Istotnie, są to pasáže, przejścia między sensem dosłownym i przenośnym, powierzchnią i głębią, światem realnym i transcendentnym, wiodące – poprzez namysł nad dokonaniem i dziedzictwem kultury zwanej niegdyś śródziemnomorską – do rozumnego bycia w świecie, zrozumienia samego siebie. O jednej z literackich fascynacji, a zarazem patronie własnego pisarstwa, o Gérardzie de Nervalu, nadwrażliwcu i samobójcy, powiada Rutkowski: „Felieton zamienił w modlitwę i w zakłęcie otwierające bramę do pasażu, w który lepiej się nie zapuszczać, chyba że już naprawdę inaczej nie można”. W *Warszawskich pasażach* z pewnością zapanuje się warto, albowiem – podobnie jak symbol w ujęciu Paula Ricoeura – dają do myślenia. ●